

Anna Tylikowska

Smocza wersja tolerancji

Na Marsz Dla Tolerancji, zaplanowany w ramach Krakowskich Dni Kultury Gejowskiej i Lesbijskiej, pójść się obawiałam. Wiedziałam, że w związku z kościelną procesją uznano go za prowokację. Słyszałam, że mówiono o nim w telewizji, nie raz i stroniczo, faworyzując stanowisko przeciwników. Ze skrzynki wyjęłam ulotkę Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. Ks. Piotra Skargi: powiedz nie promocji homoseksualizmu w Krakowie. Z gotowymi kartkami do wysłania na znak protestu rektorowi UJ i prezydentowi miasta, wystarczy przykleić znaczek. Protesty były skuteczne, przeciwnicy uzyskali poparcie rektora i prezydenta, termin marszu zmieniono. Wyglądało na to, że tamci wiedzą czego chcą i są nieźle zorganizowani.

Później marsz poparli Wisława Szymborska i Czesław Miłosz. Może jednak coś z drugiej strony rozmięknie, pomyślałam. W dniu marszu, w piątek siódmego maja, wahałam się do ostatniej chwili. Bałam się. Wyobrażałam sobie, że ten i ów zechce w nas czymś rzucić, a latające przedmioty budzą we mnie wyjątkowe poczucie zagrożenia. Poza tym powstała we mnie wizja, w której negatywnie nastawiona asysta marszu wyciąga z niego pojedynczych uczestników, albo śledzi ich po pochodzie. Co będą z nimi robić potem, myślałam nie ogarniałam.

Nawet jeżeli pomysł łapanek maszerujących osób był irracjonalnym odpryskiem wojennych opowieści babci i dziadków, a fruujące obiekty mogą być lekkie, albo lepiej, w cudowny sposób zatrzymywać się przed tęczowymi flagami. Nawet wtedy, agresji słownej, o której byłam przekonana, że nie ominie nas na pewno, obawiałam się również. Zauważyłam już, że nie potrafię na nią reagować odpowiednio, czyli nie ucieczkowo.

Z drugiej strony myślałam o bliskich mi ludziach, którzy na marszu będą na pewno. Chcę z nimi być, poczułam, o nie, nie dam zastraszyć się swoim lękom, a tym bardziej jakkolwiek dobrze zorganizowanym grupom nacjonalistów. Sama z siebie też chcę tam być. Poza tym z nami jest słuszność, więc moc. Idę.

Tłum w miejscu wymarszu widzę z daleka. Ludzi jest więcej niż się spodziewałam. Zastanawiam się jaka część z nich jest za, a jaka przeciw, ale i tak jestem pozytywnie zaskoczona. Pod Collegium Novum wpadam w objęcia Piotrka. Przedstawia mnie swoim koleżankom. Gdzie twój chłopak, pytam, bo miałam nadzieję go poznać. Nie przyszedł, bał się.

Są ludzie z Kampanii Przeciw Homofobii, Centrum Praw Kobiet, Fundacji Kobiecej Efka, Partii Zielonych i Racji. Spotykam Perfect, Magdę i Gosię, i sporo innych znajomych. Znaczna część z nich to ani lesbijki, ani geje. Mnóstwo ludzi z aparatami i kamerami. Tu i ówdzie kręcą się wypytyjący o co chodzi obcokrajowcy. Z Sandrą i Piotrkiem pozujemy do zdjęcia.

Zbliża się 16:30. Grupa zaczyna się formować. „Wypierdalać! Wypierdalać!”, kwiat młodzieży zapewne wszechpolskiej skanduje z boku. Zagapiłyśmy się z Magdą i Gosią, jesteśmy na końcu. Ruszamy w Planty, z czarnymi flagami nad głowami, skonfundowane, że chyba idziemy w towarzystwie nieodpowiednim, bo przeciwnym. Ale nie, to anarchiści. Przechodzimy obok zakonnika, który szepcząc coś kreśli dłonią nieustający znak krzyża. Kwiat wpada na nowy koncept. „Mor-der-cy! Mor-der-cy!“, słyszymy.

Jajko to sprzęt nie najcieńszego kalibru, jaki będzie w nas rzucały, ale i tak potrafi być bolesny. Przez pierwsze dwadzieścia minut pochodu jajek poleciało sporo. Kiedy zauważyłam pierwsze, na moment zrobiło mi się gorąco, ale przyzwyczałam się szybko. Gosia zajęta rozmową znikła nam z oczu. Kombinujemy z Magdą czyimi jesteśmy morderczyniami. Ustalamy, że jako lesbijki albo geje, odpowiadamy za śmierć nie narodzonych, bo nie poczętych dzieci. Dołącza do nas Perfect, razem podganiamy do przodu. Przed nami idą ludzie z dziećmi, za nami profesura szpitala uniwersyteckiego. Jest dużo przyszyłych socjologów i psychologów. Co chwilę mijamy naszych studentów, albo oni nas. Jesteśmy dumne.

Idący obok mężczyźni zauważają, że są filmowani. Po co ten gość to robi, zastanawia się jeden z nich. Na własny użytek, odpowiada inny. Śmiejemy się. Do Barbakanu, pod którym zatrzymaliśmy się na posłuchanie senator Szyszkowskiej, zbliżamy się całkowicie rozluźnione. Jajka przestają fruwać. Stoimy za daleko, więc przemówienie pani senator nam umyka, ale nawet o tym nie wiemy. Fajnie jest. Wzdłuż trasy stoją mniej lub bardziej przypadkowi przechodnie, niektórzy patrzą nie wiadomo jak, inni na pewno z sympatią. Po trawie w przeciwną stronę szybko idzie zdaje się, że Izabela Filipiak. Widzę kolegę, którego dawno nie spotkałam, na chwilę wyskakuję z szeregu.

Wciąż idziemy Plantami. Zmieniamy trasę, posuwamy się naprzód niezgodnie z planem, pewnie dla bezpieczeństwa. Perfect mówi, że na Grodzkiej wszechpolacy obmyślili jakąś niespodziankę. Domyślamy się, że może dojdziemy do punktu docelowego, pod smoka, na około. Wchodzimy w Krzyża, więc nie. Ponownie schodzimy na Planty, może jednak? Nie, skręcamy w Dominikańską. Dwie osoby na wózkach inwalidzkich turkocą obok nas po bruku. Mnich, który nas żegnał pod Collegium Novum, czeka pod Kościołem Dominikanów. Chyba przyszedł na skrót, przez Rynek, zmyślnie. Drobnym, z długą siwą brodą, malowniczym. Błogosławi nas? Jeżeli tak, to w jakiej intencji? Egzorcyzmuje, podpowiada Magda.

Na Grodzkiej zatrzymujemy się. „Tolerancja, tolerancja”, rytmicznie krzyczymy, klaszcząc. Słyszę, że stoimy pod siedzibą Młodzieży Wszechpolskiej, i dlatego tak. Zgodnie z drugą wersją, jesteśmy pod Urzędem Wojewódzkim, który był marszowi przeciwny. Może jeszcze inaczej, może z przodu znowu ktoś przemawia? Podchodzimy do wylotu Grodzkiej, dwa kroki i po prawej stronie zobaczymy Wawel. Póki co ponownie zatrzymujemy się. Od strony Stradomia stoją tamci. Starszy, niechlujnie wyglądający pan konferuje z policjantem o zboczeńcach. Dociera do nas hasło, że smok jest hetero, to chyba z jakiegoś ich transparentu. „Zboczeńcy! Zboczeńcy!” – oni. „Tolerancja! Chodźcie do nas!” – my.

Coś drgnęło, robię kilka kroków, wchodzę w Podzamcze. Z lewej strony przejścia brak, z obu stron kościoła Świętego Idziego tłum przeciwników. Na wawelskim wzgórzu dostrzegam obrońców krakowskiej moralności. Młodzi i dzielni, niektórzy mają zasłonięte twarze. Zdaje się, że zablokowali przejście w stronę Wisły. Zaczyna być klaustrofobicznie. Wybuchają petardy, ludzie krzyczą, żeby siadać. Przestraszona nie na żarty, siadam na ziemi pod rozstawionymi w pobliżu kościoła parasolami jakiegoś lokalu. Tłumaczę sobie, że są tu przypadkowi przechodnie, dzieci, że oni o tym wiedzą i nie byłoby tacy, żeby wrzucić w nas jakiś gaz. Opieram się o koleżankę, poczucie że nie jestem sama pomaga mi, uspokajam się.

Wstajemy. Rozchodzi się informacja, że na znak policji mamy stopniowo cofać się Grodzką, ale sygnału brak. Odnajduję Magdę, rozglądam się. Zwarty szereg policjantów przytrzymuje tamtych od strony Stradomia. Pojedynczy elpeerowcy i wszechmłodzieńcy biegną w dół i w górę wawelskiego wzgórza. Rzucają kamieniami, pewnie dlatego kazali nam siadać. Od strony Kanoniczej stoi ochrona marszu, w czarnych mundurach, z groźnie wyglądającą bronią. Czy tamci są za nimi, tego nie wiem. Dociera do mnie, że skoro to co się dzieje jest możliwe, to może zdarzyć się więcej. Policjanci mogą ich nie utrzymać, runą na nas i będą tłukli, a uciekać nie ma dokąd. Czuję się jak w pułapce.

Przerażona jak nigdy wcześniej, analizuję swój lęk. Nie mam schematów działania na takie sytuacje, jestem w stanie zrobić najgłupszą rzecz, to dlatego się boję. Przysiadamy z Magdą pod murem, zawsze to jakieś oparcie. Trzymamy się razem, tak jest bezpieczniej. Próbuję nad sobą zapanować. Słucham wywiadu, którego udzielają dziewczyny sfotografowane w ramach „Niech nas zobaczą”. Opowiadają o kłopotach, jakie potem miały, i o tym, że nie do pomyślenia jest, żeby sceny takie jak tutaj rozgrywały się w Warszawie.

Chcę wsiąść w taksówkę i zniknąć. A najlepiej od razu znaleźć się w domu, w kłębek zwinięta. Zastanawiam się czy wpuściliby nas do tej knajpy na rogu Grodzkiej. Na pewno jest zamknięta, trzeźwo zauważa Magda. Proponuje zejście w Kanoniczą. Nie, jeszcze nie. Mówię jej o swoim strachu, żeby go oswoić. Ona odpowiada, że niebezpieczeństwo jest realne, to instynkt samozachowawczy, mam zdrowe odruchy. Z boku słyszymy, że jakiś chłopak oberwał po głowie cegłą, że połała się krew. Decydujemy się na natychmiastową ewakuację.

Kanonicza jest prawie pusta, da się w nią wejść. Idziemy spacerkiem, jak gdyby nigdy nic, że niby jesteśmy tu przez przypadek. Nie mogę przestać gadać, mówienie robi mi dobrze. „Uciekajcie!”, krzyczy za nami spora grupa biegnąca w dół ulicy. Zaczynamy biec. Kroki za nami cichną, przystajemy, oglądamy się. Ludzie schodzą już spokojniej, prawdopodobnie poleciało więcej kamieni i puściły im nerwy. Wśród nich są Piotrek z Alicją, czekamy na nich. Kiedy obchodzimy budynki na Senackiej i Poselskiej, przebiega koło nas łysy chłopak. Przez komórkę wydaje kumplom dyrektywy: dokąd mają iść i żeby wzięli więcej jajek.

Wszyscy chcemy pójść sobie całkiem, ale jakoś nie możemy. Na Plantach siadamy na ławce. Piotrek opowiada, jak nagle zorientowali się z Alicją, że są między tamtymi, i szybko złapali się za ręce. I o tym, że jakiś koleś porwał tęczową flagę, i później nie bardzo wiedział co z nią zrobić. Uczestnicy marszu zaczynają się rozchodzić, znajomi przystają i mówią, że ze względów czasowych organizatorzy zrezygnowali z dojścia pod smoka. Spoglądam na zegarek, jest 18:30. O tej porze powinien zacząć się piknik nad Wisłą. Wydaje się, że jest po sprawie, że nic złego już się nie stanie.

Piotrek z Alicją śpieszą się na pociąg. Dołączamy z Magdą do koleżanki idącej w stronę Rynku. Dowiaduję się o publicznej naganie, jaką wicedyrektor Instytutu Socjologii otrzymała na posiedzeniu Senatu UJ, w związku z organizacją naukowej części Dni Kultury Gejowskiej i Lesbijskiej. Nikt nie odezwał się w jej obronie ani słowem, nikt się nie podpisał pod przygotowanym później listem poparcia. Wiadomo, każdy „chce się habilitować”. Na ulokowanym na obrzeżach miasta kampusie, na który po rektorskich wyrazach dezaprobaty przeniesiono sesję naukową ze znajdującego się w centrum Instytutu Socjologii, w ostatniej chwili odmówiono udostępnienia jej uczestnikom stolików oraz krzeseł.

Skrećamy w Wiślną. Umawiamy się z Beatą na piwo. Pojawia się Perfect, namawiamy ją, żeby poszła z nami. Dojdzie do nas, tylko skoczy do siedziby Efki po rzeczy. „Uciekajcie! Napad!”, rozlega się za nami. Znowu biegniemy. Magda i ja wbiegamy w Anny, pozostali na Rynek. Bocznymi ulicami docieramy do Efki, powinna tam być Perfect. Nikt nie otwiera. Jeszcze nie doszli, myślę. Może się boją, mówi Magda.

Wchodzimy na Rynek od strony Szczepańskiej. Naprzeciwko kotłuje się tłum cywili i policjantów w białych ochraniaczach. Regularna bitwa. Rozpoznaję osoby z marszu, tak jak my stoją i patrzą, prawie bez słowa. Żadna z nich nie ma na sobie żółtej wlepki z napisem WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, TOLERANCJA. Rozdawali je przed marszem, swoją schowałam do kieszeni dawno. Zbliża się siódma, dobrze byłoby obejrzeć jakiś program informacyjny. Kojarzmy, że w pobliżu jest pub z telewizorem. Magda dzwoni do Beaty, żeby zapytać czy wszystko w porządku i powiedzieć, że nie dojdziemy do lokalu na Anny, w którym się umówiliśmy. Beata mówi, że jest odcięta na Brackiej i tam zostanie w jakiejś kawiarni. Magda chce do niej iść. Odmawiam, mam dość. Siedzę na murku i gapię się na akcję w przeciwległym rogu Rynku. Policjanci formują się w szyk i biegną w stronę Sukiennic. Nie

wszyscy, więc to jeszcze nie koniec. O co chodzi, czy bitwa rozprzestrzenia się? Kto w niej uczestniczy? Podjeżdżają kolejne wozy na sygnale, parkują w pobliżu.

Schodzimy do piwnicy. Barman przełącza telewizor na TVN. Pod koniec „Faktów” na ekranie pojawia się hasło „Marsz nietolerancji”. Prosimy o włączenie dźwięku. Początek nam umyka, ale zaraz słyszymy, że homoseksualiści to, homoseksualiści tamto. Spoglądamy z Magdą na siebie. Przecież lesbijek i gejów było mniej niż więcej. Czemu? Boją się. Dzisiaj zdałam sobie sprawę z tego, że są ku temu solidne powody. Następnego dnia w jednej z gazet przeczytam, że homoseksualiści szukali zaczepki. Na razie reporterka informuje mnie, że na Rynku wybuchły zamieszki. Wywołane przez chuliganów i pseudokibiców walczących z policją. Poza tym mówi, że po mieście chodzą grupy wyłapujące najbardziej charakterystycznych uczestników marszu.

Ponownie próbujemy dostać się do Efki. Wiele osób już tu dotarło, wpuszczają nas. Na schodach stoi Adrian. Jest roztrzęsiony, oberwał kamieniem. Jego kolega stwierdza, że to katastrofa, że teraz tamci będą sobie pozwalać na wszystko, a niedługo ma być parada w Warszawie. Mówi, że ludzie, którzy podczas marszu byli filmowani, słyszeli później: „dorwiemy cię”. Szefowa krakowskiego oddziału Kampanii Przeciw Homofobii jest bombardowana wysyłanymi z internetu anonimowymi smsami z pogrozkami. Nie widzimy się z nią, podobno jest w stanie kompletnej rozsypki. Od Tomka dowiadujemy się, że po tym jak z Wiślniej zwałyśmy w Anny, spotkał Beatę. Złapali ją i zaczęli szarpać. Krzyknęła na pozostałych, żeby uciekali. Obliczamy z Magdą czas i dochodzimy do wniosku, że na Brackiej była później, więc nie powinno jej nic być.

Idziemy w kierunku przystanku autobusowego. Zatrzymujemy się jeszcze przy grupie siedzących w ogródku znajomych. Opowiadamy o tym, co wiemy. To się nadaje do Strasburga, ktoś mówi. Przychodzi Adrian. Pyta czy to, że dostał kamieniem można jakoś wykorzystać. Oglądam ranę. Słyszę, że grunt to nie dać się zastraszyć. Jasne.

W drodze do domu dzwonię do Beaty, upewnić się, że nic jej nie jest. Już się nie boję. Czytam list od koleżanki z pracy. Że wprawdzie jest dewotką i poglądy ma ciemnogrodzkie, ale wraz z mężem odcina się od wszechpolskich poczynań podwawelskich. Że podobno było niebezpiecznie i ma nadzieję, że mnie tam nie było. Wzruszam się. Rozmawiam z Perfect. Była na Rynku, uciekała z Robertem Biedroniem. Chcieli schować się w Sfinksie, ale ich nie wpuścili. Bo wpuszczają tylko klientów. Poza tym mieli komplet.

Mam pustkę, w sercu i głowie. Strach, o którym sądziłam, że jest czysto fizyczny, jest nie tylko taki. Szukam wyjaśnień. Na Onecie czytam, że w tym miesiącu należy zachować szczególną ostrożność. Układ planet sprawia, że społeczeństwo może być nerwowe oraz niespokojne, a nawet porywcze, egzaltowane i łatwo wpadające w gniew. Przypomina mi się zaćmienie księżyca sprzed kilku dni. No tak. Albo nie, już wiem. Byłam na wojnie pod flagą biało-czerwoną. I jak to na wojnie pod tą właśnie flagą, dopadł mnie halun.

Rzeczywiste przyczyny takiego a nie innego przebiegu marszu są bardziej przyziemne. Elpeerowcy i wszechpolacy mieli poparcie, moralne i instytucjonalne, ze strony kościoła i związanych z nim struktur, a także władz miejskich oraz uniwersyteckich. Które zadecydowało o wysokim stopniu ich zorganizowania i na wstępie dało im poczucie bezkarności. Na miejscu poczucie to wspierały działania policji, czy raczej brak pewnych działań. Nie zauważyłam, żeby kogokolwiek z rzucających czymkolwiek chociażby wylegitymowano. W Efcie usłyszałam, że kiedy po zakończeniu marszu w stronę uczestników leciały szklane butelki, policjanci szli na odsiecz spacerkiem. Senator Szyszkowskiej odmówili podobno eskortowania na dworzec. Czytam, że dwadzieścia osób zatrzymano. Podejrzewam jednak, że ujęto ich na Rynku, po ataku na funkcjonariuszy. Sądzę też, że zatrzymano nie chuliganów ani pseudokibiców, jak podają media. Na nich winę zrzuca się łatwo. Moim zdaniem za zamieszki na Rynku odpowiedzialni byli ci sami co pod Wawelem członkowie nacjonalistycznych młodzieżówek. Również nie zapewniając maszerującym

dojścia do smoka, policja nie dopełniła swoich obowiązków. Z czego być może, biorąc pod uwagę możliwość powrzućania nas do Wisły, należy się cieszyć.

W ogóle cieszyć się można. Zwłaszcza jeżeli po marszu ktoś nie poszedł na Rynek. I nie boi się tego, czego boję się ja. Że Marsz Tolerancji jednak udało się zorganizować, że tysiąc dwieście osób odważyło się przyjść, cieszę się bardzo. Ale skakać z radości nie będę. Bo mam świadomość, że to jest radość z posiadania jakichkolwiek praw obywatelskich. Które nam wszystkim należą się w pełni, na każdym kroku.

Artykuł napisany w 2004 roku, po pierwszym Marszu Tolerancji w Krakowie (od 2010 roku nazywanym Marszem Równości). Jak dotąd nie publikowany, tuż po Marszu odrzucony przez kilka czasopism.